

## **Rozdział 12.**

Jaskinia (obraz) była jedną z większych w tej części państwa Wysokacza. Archeolodzy przypuszczali, że z początku była grotą średnich rozmiarów, lecz kolejne następujące po sobie cywilizacje wgryzały się w jej ściany coraz głębiej, aby zmieścić wzrastającą populację i uciec przed wylewami wyjątkowo tutaj niespokojnej lawy. Dzięki szybkiemu nastaniu ery rolniczej, skalny gruz był częstokroć usuwany do zimnych, nie nadających się do zamieszkania szczelin i pomniejszych grot. Wraz z upływem tysiącleci powstała bogata sieć kanałów lawy, dzięki czemu przestała ona wylewać w chaotyczny sposób. Obszary przy niej stały się wyjątkowo atrakcyjne do stałego zamieszkania. Wysokacz wraz ze swoją rodziną nie był rzecz jasna na tyle bogaty, by wylać swoją sporą w tak atrakcyjnym miejscu, lecz stać go za to było na dużą rezydencję w pośrednim, zabytkowym obszarze miasta (obraz). Dzielił go do niej już niewielki dystans malowniczej szosy magnetycznej. Główna droga krajowa biegła tutaj nadwieszona nad sklepieniem jaskini (obraz). Wokół niej mieszkali bogacze, których stać było na wykucie rezydencji w tak malowniczym obszarze. Były też slumsy w chłodnych regionach, odsuniętych od rur z lawą i ciepłą wodą, oraz nadwieszonych kanałów. Szosa oczywiście nie prowadziła przez dzielnice nędzarzy, lecz przez na poły dzikie, pokryte pałacami nawisy. Zmysły Wysokacza nie obejmowały oczywiście pełnego widoku na zapierającą dech w piersiach dolinę położoną siedem kilometrów pod magnesami jego amfibii. Odczuwał i słyszał mimo to sieć odległych kanałów magmy i lampy żarowe lśniące na eleganckich pasażach wielkich miast. Po półgodzinnym locie nad macierzystą doliną (amfibię mknęły po szosie magnetycznej ze średnią prędkością około 450 km/h), zjechał w przypominającą wielką sprężynę rampę prowadzącą w dół, do miasta (obraz), które od pięciu co najmniej pokoleń zamieszkiwało 63% jego przodków. Rampa owinięta była wokół ogromnego budynku zawierającego galerie

eleganckich sklepów, windy dla pieszych i biura dużych koncernów. Nie brakowało w nim też piętrowych pól, był też nawet jeden rezerwat przyrody, dwudziesty chyba pod względem rozmiarów wśród tych utworzonych w sztuczny sposób.



Po zjechaniu z rampy amfibia znalazła się na obwodnicy miasta (obraz). Szosa wznosiła się nad dachami budynków, po czym opadała w podmiejskie tunele. Jako urzędnik państwowy

Wysoskacz miał prawo do korzystania z prywatnego pojazdu w obrębie miast liczących ponad 20 milionów mieszkańców, z czego był podświadomie dumny. Kuberianie z jego kraju, którzy byli pozbawieni tego przywileju, musieli się poruszać dobrze rozwiniętą siecią kolei magnetycznych, zaś swoje pojazdy zobowiązani byli zostawiać na specjalnych wielkich piętrowych parkingach wzniesionych przy obwodnicach. System magnesów na mniejszych, silnie porozgałęzionych drogach miast różnił się znacząco od tego na szosach krajowych. Szybkość była znacznie mniejsza, jednocześnie ograniczano emisję pola z uwagi na samopoczucie mieszkańców zatłoczonych metropolii. Jadąc wolno, Wysoskacz przyglądał się i przysłuchiwał fasadom zabytkowych świątyń, królewskich pałaców i ozdobnym mostom nad kanałami lawy i podziemnymi rzekami. Czasem zza starych gmachów dostrzegał i słyszał wewnętrzne morze jaskini (obraz). Duże zbiorniki wodne, podobnie jak kanały lawy, mógł widzieć i odsłuchiwać z całkiem dużego dystansu.

Wreszcie, minąwszy kilkanaście przecznic z rezydencjami dojechał do domu, a komputer nawigacyjny amfibii zakończył program, wyświetlając spory rachunek za użytkowanie drogi, do czego doliczył opłaty klimatyczne obowiązujące w poszczególnych grotach. Od tego odjęta była stosunkowo skromna kwota z tytułu wysłuchania kazania. Wysoskacz nie przejął się imponującą cyfrą rachunku (podaną w systemie szesnastkowym), gdyż pokrywał ją państwowy pracodawca. Nawet pensja za przymusową pracę na powierzchni była spora, lecz nikt rozsądny nie starał się wzbogacić w tak nieprzyjemny sposób. Dom Wysoskacza składał się z kilku komnat rozmieszczonych wokół ciepłego basenu ze studnią lawy pośrodku. Ściany były cienkie i mocne, o ustawianej przepuszczalności podczerwieni. Jak każdy nowoczesny budynek, ten również posiadał ściany nad głową. Umeblowanie składało się z półek z różnymi przedmiotami, koryt jadalnych kutych w eleganckich materiałach i ciepłych leżanek z możliwością ich przesuwania. Piękne, zabytkowe lampy żarowe rozświetlały przytulne pomieszczenia. W niszach ścian ustawione były rzeźby dźwięki znanego artysty z

(obraz).

- (obraz)! – zawołał i przedstawił jeden z pięciu małżonków Wysoskacza, który nazywał się Przyława.
- (obraz)! – odpowiedział i wyobraził Wysoskacz, dotykając intymnych części macek Przyława.
- Rosną cudownie – rzekł i namalował Przyława, wskazując trójkę młodych, które wskoczyły by przywitać się z jednym ze swoich rodziców. – To szczęście mieć młode, samo Ciepło było kiedyś pierścieniem i młodym.
- tak! – zakrzyknął i wyrzeźbił Wysoskacz. – Nie ma nic wspanialszego niż dzieci. Są niewinne, wolne od chłodu i bliskie Ciepłu.
- Są naszym szczęściem – dodał i dorysował Czerwieńwczewieni, drugi małżonek Wysoskacza. – Odrabiają właśnie religię, potem zostało im trochę zadań z „jak być wolną jednostką”.
- A technika? – zapytał i wyobraził Wysoskacz.
- Rada uchwaliła wczoraj kolejne ograniczenie niepotrzebnych zajęć – oznajmił i opisał Przyława.
- Ciepłu niech będą dzięki! – zawołał i namalował Wysoskacz. – Są cudowne, prawdziwy dar Ciepłych Krain. Cały świat się wokół nich ogrzewa. Dzieci, największy skarb Kubermanina! – wysoki sentymentalizm rozmowy o dzieciach był spowodowany wåtłejszą niż u Ludzi kuberiańską granicą między myśleniem, a wyrażaniem idei na zewnątrz.
- Samo ciepło było kiedyś pierścieniem i młodym! – powtórzył i przerysował Przyława. – Chodźmy się pomodlić z naszymi skarbami, a później coś zjemy.
- To znakomity pomysł i obraz – ucieszył się Wysoskacz.

Gdy modlili się w przydomowej kaplicy, jeden z pojemników wziętych przez Wysoskacza z chłodnej powierzchni przewrócił się i pękł. Było to prawie niemożliwe, zważywszy na mocny materiał, z którego go wykonano, jednakże czasem zdarzają się przecież buble. Gdy Wysoskacz ujrzał tę katastrofę po domowym

nabożeństwie, szczerze się zmartwił.

- Moi drodzy – rzekł i ukazał w końcu, gdy dzieci wróciły do pracy domowej z religii. – Te pojemniki być może zawierają cud, który pozwoli nam się zbliżyć do wyższych warstw społecznych. Wydaje mi się, że trzeba będzie ukryć pospiesznie ten wypadek, by nie dodać zarzutu o niedbalstwo do słusznie zasłużonej pochwały za Świadectwo.
- (Obraz)! – zawołał i wykuł Czerwieńwczzerwieni, – twój pomysł wydaje mi się słuszny, lecę po przyrząd do sprzątania.
- To bardzo chłodne kłamać przed Etykami – zaprotestował i skreślił Przyława.
- Ale to nie nasza wina – zaprotestował i zamazał Wysokacz, – a przecież cel uświęca środki. Pomyśl o dzieciach, będą szczęśliwe mieszkając w ciepłej dzielnicy, tuż przy świątyniach. Będą mieć prawo do zapłodnienia większej ilości pierścieni!
- To prawda – zgodził się i podkreślił Przyława, – nie dla siebie, lecz dla młodych warto to zrobić.

Wylali pospiesznie zawartość rozbitego pojemnika do kloaki, nie przejmując się ewentualnymi skutkami skażenia. Organizmy z powierzchni nie miały najmniejszych szans na przetrwanie w ciepłym klimacie jaskiń. Już teraz zdychały, pulsując dziwnie i niepokojąco.

- Obrzydlistwa! – warknął i chlapnął Czerwieńwczzerwieni usuwając nieprzyjemny odór estrami zapachowymi. – Mam nadzieję, że wkrótce skończą się twoje roboty przymusowe ciepły małżonku. Dobrze, że Ogieńgroty i reszta pracują teraz, bo nie wiem, jak znieśliby tę mroźną woń – miał na myśli i wymawiał oczywiście pozostałych małżonków.

Kuchnia Kuberian była bardzo skomplikowaną i starożytną sztuką. Jej podstawą były starannie dobrane akwaria z podgrzewaczami i mineralizatorami wody. Od umiejętności

kucharza zależało doglądanie przyszłego posiłku i umiejętność wybrania konkretnych, adekwatnych w danym momencie składników dań. Wielką, kto wie czy nie największą, sztuką było zharmonizowanie potraw roślinnych i zwierzęcych. Nawet początkujący wiedzieli bowiem, że hodowane oddzielnie nie oddają nawet cienia cenionego przez znawców smaku. Składniki dania trzymane razem od odpowiedniego momentu ich wzrostu były natomiast gwarantami najprzyjemniejszych chwil w życiu Kuberianina, jeśli rzecz jasna nie liczyć pożywki ducha, którą zapewniali ciepłi Etycy. Nawet seks nie zawsze mógł się równać z rozkoszami zmysłów smakowych i zapachowych. Prócz korpusu posiłku wyciąganego na świeżo z akwarium, istotne były również przystawki i placki z organizmów poza wodnych. Te najczęściej gotowano, do czego służyło najgorętsze akwarium. Ambicją każdego było mieć je prosto z pola, czyli przydomowego ogródka. Do tego dochodziły przyprawy, organiczne i nieorganiczne, wrzucane do zbiorników tuż przed rozpoczęciem biesiady. Do żerowiska dodawano również kostki minerałów, wydobywane z przydomowych szybów, lub podobnie jak zawartość akwariów kupowane w sklepach. Dla organizmów Kuberian różnorakie surowce mineralne były absolutnie niezbędne i nie mogli oni trawić materiałów organicznych nie przygryzając ich pokaźną porcją zupełnie nieożywionej skały. Pod tym względem stosowany tutaj ziemski podział kuberiańskich form życia na rośliny i zwierzęta należy traktować jedynie jako niezbędne przybliżenie, które byłoby z pewnością kontrowersyjne w ocenie każdego biologa.

Za „stół” służył bogatszym Kuberianom z kraju (obraz) zbiornik umieszczony w kuchniojadalnym salonie. Jedli z niego wspólnie zanurzając górne części korpusów w odpowiednich talerzach – akwariach. Potrawy lądowe ustawione były obok na plecionych matach i je wkładali do swoich otworów pokarmowych mackami. Sięganie macką do akwariów było wyjątkowo wulgarne i każdy rodzic dbał o to, by jego pociechy jak najszybciej wyrosły z tego gorszącego nawyku.

- Jak ślicznie jedzą – pochwalił i wyrysował potomstwo Czerwieńwczzerwieni.

To szczęście mieć młode, samo Ciepło było kiedyś pierścieniem i młodym – dodał i zakreślił jak zwykle Przyława.

- Jak szybko się uczą, są takie zdolne – westchnął i podkreślił Wysoskacz. – One są zbawieniem rodziców, każdy czyn, który się dla nich robi ma w nich swoje usprawiedliwienie. To jest po prostu najważniejsze (oprócz Ciepła oczywiście)! Mieć potomstwo, takie (obraz), miłe i ciepłe!
- Rodzice! – rzekło i odmalowało jedno z dzieci. – Posiłek ma bardzo dziwny smak.
- Zawsze wiedziałem, że nie warto kupować w sklepie (obraz) – powiedział i przedstawił Przyława. Nie miał racji, gdyż na smak dania wpłynął powierzchniowy organizm, który niezdarnie wpełzł do jednego z akwariów. Był już na tyle zimny, że nie usłyszał i nie dostrzegł go żaden z biesiadników.

Gdy Wysoskacz zagłębił się w swojej leżance i pogrążył się w swoich ulubionych płaskorzeźbionych słuchowiskach, miał od czasu do czasu wrażenie, że jakieś drobne dźwięki i obrazy pojawiają się w zasięgu jego zmysłów. Dom jakby ożył. Zwalił to na karb znużenia przykrymi robotami na powierzchni i poszedł się przejść po okolicy. Nie była ona gęsto zasiedlona, gdyż wciąż, mimo sąsiedztwa śródmieść metropolii miała charakter na poły rolniczy. Wielkie pola porostów i gigantyczne płachty liściowców, same w sobie wielkości pola, nie znikły jeszcze z krajobrazu, czyniąc go swobodnym i otwartym. Przeludnienie Kubery było coraz bardziej odczuwalne, i tylko dobrze sytuowani państwa (obraz) mogli sobie jeszcze pozwolić na odrobinę przestrzennego oddechu. Cóż, wszyscy lubili mieć dzieci, było to bowiem celem wszystkiego, co obejmowała wysoka etycznie świadomość wierzących w swoją silną duchowość mieszkańców planety. Zabudowa okolic pochodziła z wdzięcznego okresu sprzed około 150 lat. Dźwięczne

płaskorzeźby budynków odwoływały się do fantastycznych opowieści i miło było na nie spoglądać przypominając sobie czyny baśniowych herosów. Świątynie z kolei, elegancko zarządzonymi się kontami ścian podkreślały swój majestat i ogólną uroczystość swej misji wśród równin śmiertelników. Ich styl był dwukrotnie starszy od zabudowy świeckiej. Z rozmyślań wyrwało Wysoskacza pełznące stado zwierząt gospodarczych. Gdy było zeszło już z drogi, poganiane przez roboty rolnicze, Wysoskacz zawrócił, przypomniawszy sobie o swoim ulubionym serialu obyczajowym. Spojrzał raz jeszcze na unoszące się nad polami ciepłe opary, tak fantastycznie opisane w rzeźbiowisku (obraz) i namacał macką w kieszeni jakiś miękki przedmiot. Wyjął go i zorientował się nie bez obrzydzenia, że jedno z powierzchniowych stworzeń zdołało się jakimś cudem tam schować. Teraz było ewidentnie zdechłe, zgniecione ciśnieniem i poparzone. Mimo to wciąż drgało jeszcze konwulsyjnie, zatem Wysoskacz wyrzucił je gdzieś na pola zamaszystym gestem. Po chwili jednak zreflektował się, pomyślał o komisji etycznej i jak głupiec uganiał się przez pół godziny między wysokimi zaroślami dojrzewających porostów. Wreszcie znalazł ów niemiły obiekt i jak tylko znalazł się w domu, wbiegł jak oziębiony do kloaki i pozbył się owej potworności z ulgą.

Tymczasem Przyława i jedno z dzieci rozchorowali się, postanowił zatem odłożyć planowaną wizytę w komisji etycznej, która miała udokumentować cud, jakiego był świadkiem na powierzchni. Obydwaj domownicy bełkotali i wyobrażali coś jakby w nieznanym języku, podobnym trochę do (obraz). Co jakiś czas ich słowa i wizje zamieniały się nieartykułowane i nieplastyczne krzyki. Czerwieńwczewieni chciał pójść po lekarza, lecz w pewnym momencie opadł bezwładnie na leżankę, nie mogąc opuścić chorych. Również Wysoskacza ogarnęła apatia związana najpewniej z troską o chorych. Pozostała dwójka dzieci wysłała do szkoły zwolnienie od rodziców, gdyż troska o bratosiostrę uniemożliwiła im uczestnictwo w lekcjach.

- Są takie wrażliwe i nieegoistyczne – rzekł i ukazał



zachwycony Przyława. – To szczęście mieć młode, samo Ciepło było kiedyś pierścieniem i młodym – dodał i dorysował jak zwykle.

- Pomódlmy się – zaproponował Czerwieńwczერიენი i w ten sposób spędzili najbliższą godzinę. Następnie obmacali i wysłuchali jeden ze swoich ulubionych turniejów, polegających na odsłuchu i obserwacji prawdziwych Kuberian. Wszyscy zgodnie uważali, że jest to najwyższa forma rozrywki, prawdziwe życie i prawdziwy realizm, rzeczy autentycznie Kuberiańskie. W końcu cały świat był Kuberiański, poza nim nie było niczego jeśli nie liczyć rajy i jak najdokładniejsze ukazanie tego, co najważniejsze, czyli prawdziwych Kuberian, było wszystkim, czego można było słuchać i oglądać.

Wysokacz poczuł się lepiej, perypetie prawdziwych bohaterów dodawały mu otuchy. Irracjonalne przygnębienie powoli go opuszczało. Nagła choroba w rodzinie musiała być spowodowana jakimś zakażeniem, nie było to nic groźnego. Przyława, który zgadzał się z nim w pełni, przyniósł z szafki ogólne lekarstwo przeciw stanom zapalnym i wszyscy je przyjęli. Wysokacz, który nie lubił brać na czczo medycznej chemii, przekąsił trochę minerałów wydobytych z przydomowego szybu. Jego również musiała brać infekcja, gdyż miały dziwny smak. Nadchodziła pora, gdy nie zależnie od zgłoszenia cudu winien się stawić u przełożonych. Poinformował ich zatem o chorobie, co musiało być zweryfikowane, gdyż jako uczestnik prac przymusowych był pod obserwacją. Dlatego niemal z satysfakcją przyjął do wiadomości nasilające się omamy wzrokowo słuchowe. Miał wrażenie, że wszędzie wokół coś stuka, a martwe stworzenia z powierzchni wyskakują i dźwięczą z zakamarków pokojów i niezdarnie, kompletnie nienaturalnie przemieszczają się po posadzkach. Złudzenia stały się na tyle silne, że niekiedy łapał się na tym, że ściera z podłóg plamy cieczy z kloaki, choć były one przecież jedynie iluzją dźwiękowizualną. W plamach odcisnięte były rzecz jasna wici chłodnych potworków, co dodatkowo potwierdzało przypuszczenie

o omamach.

Gdy przybył lekarz kontroler słuchał Wysoskacza i spoglądał weń surowo. Po przeprowadzeniu rutynowych badań urzędnik był przekonany, że pacjent symuluje. Na próżno on i pozostali małżonkowie przekonywali konowała, że choroba jest prawdziwa. Nieugięty specjalista zażądał stawienia się w pracy najpóźniej po wypaleniu się trzech korzeni. Ten czas spędził Wysoskacz na oglądaniu i słuchaniu rywalizacji zręcznościowych. Na szczęście było podnoszenie skał, co zawsze go uspokajało. Gdy dopaliło się pół trzeciego korzenia, chcąc nie chcąc wyszedł przed dom i skierował się do stacji kolejki miejskiej, gdyż czuł się zbyt źle, by prowadzić amfibię. Gdy magnetyczny pociąg wjechał na peron podziemnej stacji, Wysoskacz wczuł się niechętnie do zalanego odpychającym, industrialnym żarem wnętrza wagonu. Nie cierpiał jeździć metrem, na szczęście było tym razem zaskakująco puste. Trochę Kuberian z niższych warstw społecznych spoglądało na niego i wsłuchiwało się ukradkiem. Byli na jednak szczęśliwie na tyle daleko, że mógł to ignorować. Uspokoił się, gdy na którejś ze stacji wszedł Etyk Żebraczy i zaimprovizował spontaniczną modlitwę. Dopiero wtedy, słuchając i patrząc na wzniosłe hymny o właściwym myśleniu i karaniu źle myślących, łagodnym i stanowczym, Wysoskacz poczuł się na tyle spokojnie, że spojrzął przez okna kolejki, która wyjechała jakiś czas temu z tuneli i teraz poruszała się na powierzchni. Wysoskacz z przerażeniem odkrył, że wsiadł nie do tej linii, a trzy korzenie już się dopaliły. Jak oparzony wyskoczył na najbliższej stacji i znalazł się przeszło trzy kilometry nad ziemią. Zrozumiał teraz, dlaczego metro było praktycznie puste. Przez omyłkę wybrał linię wiodącą do przedmieść miasta (obraz) umieszczonych na sklepieniu jaskini (obraz). Pospiesznie przeszedł na przeciwległą stację i wrócił praktycznie do punktu wyjścia. Był już spóźniony o pół korzenia, co zaczynało grozić poważnymi konsekwencjami.

Wjechał jego pociąg i skierował się ku wejściu, nie mógł

jednak wejść. Jakaś dławiąca siła blokowała jego wolę, dar Ciepła odróżniający Kuberian od nieszczęsnych pomiotów zimna. Nie mógł wejść... Skład metra odjechał, a on stał na stacji niczym przykuty grzesznik. Jednakże nowy pociąg spowodował odwrotny efekt i wbrew swoim chęciom znalazł się w jego wnętrzu, choć wiedział doskonale, że kieruje się znowu ku sklepieniom jaskini nad jego miastem. Wysiłając się bezgranicznie zdołał opuścić nieszczęsną i niespodziewaną pułapkę i znów znalazł się na stacji w pobliżu jego domu. Po czym znowu, nieomal jak ktoś dochodzący do przytomności po jakimś nokaucie, ocknął się na niewłaściwej stacji, niemal tuż pod skalną pokrywą jego ojczystomacierzystej krainy. Tylko i wyłącznie dzięki temu, że niewidoczny nacisk na jego wolę nagle trochę ustąpił mógł po dwóch korzeniach znaleźć się w drzwiach własnego domu.

- Nasze dziecko (3) chyba umarło! – powitał go przerażony Czerwieńwczewieni. Wysokacz poczuł, że sens jego materialnej egzystencji wali się w gruzy i pobiegł we wskazane przez małżonka miejsce. Dziecko (3) wyglądało i dźwięczało strasznie. Było chłodne i musiał nastąpić w jego małym ciałku jakiś przyspieszony, zupełnie niemożliwy rozkład. Trupia woń unosiła się wokoło mieszając się z lamentami Przyława, który bezskutecznie próbował pocieszać dzieci (1 i 2). (Kuberiańskie młode nie nosiły imion przed osiągnięciem odpowiedniego wieku związanego z ceremonią religijną).
- Nie! Na ciepłe Ciepło! Nie, ono żyje, żyje, jest żywe...! – zakrzyknął i odzwierciedlił Wysokacz szybciej, niż zdołał to pomyśleć. Rzeczywiście, dziecko (3) wstało w jakiś wysoce nienaturalny, spowodowany chorobą sposób i wyemitowało w stronę rodziców jakiś niepokojący, wręcz odpychający dźwięk i obraz. Było w nim coś tak odrażającego, że w umyśle Wysokacza pojawiła się budząca grozę myśl. – Zabij to, zabij to – wołała i malowała. – Jestem również bardzo chory – pokonał ją inną myślą. Tymczasem dziecko (3) odepchnęło rodziców i

wyszło przed dom czyniąc długie susy.

- Gońmy je! – wrzasnął i chlapanął Przylawa. – Słyszałem o chorobach, które sprawiają, że chory wykonuje nieskoordynowane ruchy, po czym ginie na szosie magnetycznej pod amfibią.

Nie trzeba było więcej rysować i mówić, wszyscy domownicy wybiegli pospiesznie za potomkiem i bratosiostrą (3). Nie mogli go jednak dogonić. Pędzili zatem przez całe miasto, rozwichrzeni i nieubrani w wyjściowe stroje. Dziecko skierowało się tymczasem do Parku Rozrywki nad Chłodnymi, gdzie przeważnie chadzało się tylko w święta. Stali tam przykuci do ścian heretycy, mordercy dzieci i ateści. Każdy mógł ich torturować na własną mackę, wiadomo jednak było, że zwykle zajmują się tym szanowani specjaliści i niedobrze jest im przerywać zbyt często swoją amatorszczyzną, gdyż przynosić to może nawet ulgę słusznie skazanym. Nie mieli jednak czasu na rozmyślanie, lecz minawszy czcigodnych oprawców pomknęli za swoją pociechą, nie myśląc nawet o miłym obowiązku rozrywki. Na szczęście dzieci (1 i 2) znalazły chwilę czasu, by chwycić lodowe obcęgi i wyrwać kilka spłachci mięsa z godnych potępienia.

To szczęście mieć młode, samo Ciepło było kiedyś pierścieniem i młodym – rzekł sapiąc Przylawa, dumny, że jego dzieci nawet w tak trudnej sytuacji nie zapominają o etyce.

Park Rozrywki nad Chłodnymi był zwieńczony wysokim kominem zbierającym chłód z góry, by zapewnić skazanym dogodne warunki odbywania pokuty. Szyb posiadał własną windę prowadzącą wiele kilometrów w górę. Choć służyła ona wyłącznie pracownikom placówki, nie była w żaden sposób zabezpieczona, gdyż żaden Kubermanin przy zdrowych zmysłach nie chciałby nią podróżować. Tym niemniej dziecko (3) wsiadło do niej i pozostała część jego rodziny ledwie zdążyła za nim wbiec. Szczęście w nieszczęściu było takie, że mogli teraz spróbować okiełznać swoją pociechę, by zaprowadzić ją z powrotem do domu, gdzie czekałby lekarz. Okazało się jednak, że dziecko (3) pod

wpływem choroby nabrało ogromnej, nienaturalnej wręcz mocy i wszelkie próby pozbawienia go mobilności kwitowało ciosami mogącymi rozbijać mury. Rodzice nie ustępowali jednak, dopiero, gdy wyrwali swojemu potomkowi kawał macki, przestali natychmiast. Choroba była tak silna, że dziecko (3) nie reagowało na ból, być może stąd brała się jego nadnaturalna siła.

Wyjście z szybu windy prowadziło do karnej kopalni, gdzie pracowali skazańcy rokujące jeszcze jakieś nadzieje na resocjalizację. Nie wolno było tutaj poruszać się zwykłym mieszkańcom miasta, na co zwrócili uwagę strażnicy. Wysokacz starał się im pospiesznie wyjaśnić ich trudną sytuację, udało się to jednak dopiero w windzie górniczej wiodącej na podpowierzchniowe regiony. Liczyli na to, że spotkają jakiegoś lekarza mającego środki uspokajające, które można by wstrzelić w organizm ich nieokiełznanego potomka. Niestety, lekarz nie znalazł się wraz z nimi w szybie kopalnianego dźwigu i mogli jedynie pożyczyć stroje górnicze chroniące nadzorców przed przeszywającym zimnem. Gdy zakładali jeden z nich na dziecko (3), spoglądali z lękiem na jego pałające chłodziwą ciało i mieli wrażenie, że podróżują z jakimś monstrum, czy obcym żywiołem nienawistnej, materialnej natury. Choć wszyscy czuli podobnie, nie przyznawali się przed sobą do tego. Odrażające i przerażające zachowanie potomka (3) było przecież wyłącznie winą tajemniczej choroby. Mimo to czuli się jak w jakiejś nierealnej, przerażającej wizji zdarzającej się czasem osobom znużonym, którym zmysły odmawiają posłuszeństwa.

Gdy tylko winda górnicza wjechała na ostatni poziom dziecko (3) wybiegło i jak przyciągane magnesem popłynęło do jakiegoś onirycznego, tajemniczego celu. Nie mając wyjścia, jak już od dwóch korzeni, biegli za nim. Znaleźli teraz w umieszczonej blisko powierzchni osadzie, nadzorowanej przez wojsko. Żołnierze nie byli równie ugodowi jak nadzorcy kopalni i po kilkunastu ostrzegawczych sygnałach zaczęli do nich celować z biczów paraliżujących. Wysokacz czuł nieprzyjemne uderzenia

tej broni, które mogłyby natychmiast zwalić z nóg cały szereg wrogich Kuberian. Jakimś cudem jednak miłość do dziecko i bratosiostry (może lepiej mówić „rodzonka”?) utrzymywała ich na nogach. Wysoskacz miał coraz mniej okazji i siły by rozglądać się na wokół, lecz z przerażeniem ujrzał poruczników komunikujących coś pilnie swoim podkomendnym. Zgodnie z posępnym przeczuciem Wysoskacza w mackach żołnierzy pojawiła się ostra broń, projektowana po to, by zabijać.

- Już po nas – rzekł i ukazał pozostałym członkom skazanej na zagładę rodziny.
- Spróbujmy się zatrzymać – powiedział i ukazał Czerwieńwczewieni dysząc ciężko.
- Nie mogę przestać biec – zawołał i przedstawił Przyława.
- Ja również! – krzyknął i ukazał Wysoskacz, który dopiero teraz poczuł wyraźnie, że nie kontroluje już swoich mięśni. Przyczyna była oczywista, musieli się zarazić od dziecka (3). W rzeczywistości nie biegli już za nim, ale razem z nim. Było to w najwyższym stopniu potworne!

Gdyby ktoś, nie obdarzony kuberiańskimi zmysłami mógł ujrzeć ponurą scenerię podpowierzchniowej jaskini i rozgrywający się w niej potworny dramat, z pewnością nie mógłby przez najbliższe kilka nocy spać spokojnie. W klaustrofobicznej, gniecionej przez skalne ściany przestrzenie rzędy obłych stworzeń wyrzucały przed siebie swoje macki zwieńczone wojennymi biczami. Te, parując od elektrycznokwantowych rozbłysków, uderzały nieomylnie w centralny punkt krwawej ciemności, gdzie coraz mniej określona masa materii organicznej coraz bardziej niestrudzenie i coraz bardziej nienaturalnie przedzierała się ku windom wiodącym na powierzchnię Kubery. Przerażające ofiary obławy traciły co chwilę fragmenty swoich ciał, lecz nie umniejszało to w żaden sposób niepojętej siły, z jaką należące wciąż do nich macki wyrzucały w powietrze zmiażdżone ciała zaskoczonych napastników. Całą przestrzeń wypełniał upiorny wrzask i rozdzierający nerwy woł podczerwonego światła.

– Jak to możliwe? – pytał i malował w myślach Wysokacz wiedząc, że dawno powinien już zginąć. Tak też się stało, mimo to posuwał się dalej, a podskoki jego pociętego korpusu były coraz bardziej upiorne i nierzeczywiste. Żołnierze w końcu z lękiem odstąpili od swoich ofiar i zajęli się ciałami zabitych i rannych kolegów. Dwóch z nich, najodważniejszych, poszło w ślad za zimnymi napastnikami. Powietrze wydawało im się ciężkie, oddychali więc z trudem. Ich bicze cuchnęły wciąż odrażającą wonią spalonej tkanki, która wciąż pulsowała i żyła, podskakując w budzący protest sposób. Jakieś fragmenty tkanki wpadły nawet do ich jam gębowych i w żaden sposób nie mogli uniknąć ich przełknięcia. Kanibalizm był grzechem, więc być może chęć jego odkupienia stymulowała odwagę obrońców ojczyzny (obraz).

Dwaj śmiałkowie nie mieli jednak tyle brawury, by znaleźć się w jednej windzie z potwornościami, których wygląd i dźwięk zapamiętały coś z dawnego kształtu Kuberian. Wybrali inną windę. Gdy ta, po godzinnej jeździe znalazła się na powierzchni, nie spodziewali się, że znajdą jeszcze gromadę szaleńców, których zabili tak wiele razy. Druga winda działała wolniej od pierwszej, miała gorsze silniki, których jeszcze nie wymieniono i ta myśl napełniała wojskowych podświadomą ulgą. Okazało się jednakże, że sześć pokiereszowanych ciał stało bezwolnym, nierzeczywistym rzędem tuż przed wyjściem z szybu na górze. Korpusy, pozbawione już dawno wypustek zmysłowych, zauważyły ich i usłyszały w jakiś potworny sposób i automatycznie mlaskając i płamiąc pomknęły gdzieś w głąb mroźnych i samotnych równin powierzchni. Żołnierze, całkowicie zaskoczeniu własnym męstwem, pobiegli za nimi, kurczowo zaciskając bicze. Podskoki zwłok były jednakże tak zamaszyste i szybkie, że dwójka śmiałków bardzo szybko zaczęła tracić je z pola percepcji. Na szczęście, albo raczej wprost przeciwnie, pościg nie trwał długo. Szóstka potworności znieruchomiła nagle w kręgu, zaś ich ciała zaczęły polaryzować fosforycznym upiornym światłem. Ta poświata zaczęła przepływać przez naturalne i nienaturalne otwory w ciałach monstrów i powoli

scalała się, uwidoczniła i przechodziła crescendo, stając się dymem, mgłą, chorobliwym oparem czegoś nieskończenie zimnego, łamiącego wszelkie etyczne wzorce. Wreszcie, wyciskając swój pokarm do samych komórkowych ścian, gaz mieniając się skrajnie nierealnym brzaskiem, nieznanym i niesłyszczanym nigdy przez zmysły Kuberianina, uformował się w coś pomiędzy sześcioma kopcami popiołu. To coś było żywe, obdarzone jakąś złowrogą i niepojętą świadomością, zakazaną na Kuberze, a jednak istniejącą, łamiąc z obcą arogancją wszelkie ciepłe prawa. Nagle, cała ta tęczowa upiorna masa zadźwięczała i błysła, by w nagłym i przerażającym jaskrawym krzyku wystrzelić ku przekłętemu niebu, siedzibie chłodu. Niestety, jakaś mała, błyszcząca kropla po chwili opadła z powrotem i zatonąła bezgłośnie w piaskach umarłej równiny.

- Widziałeś i słyszałeś to? – spytał i ukazał pierwszy żołnierz. Nagle zamarł. Dopiero teraz zorientował się, że tuż obok siebie ma kolejną, siódmą kupkę popiołu na której wciąż pełgały ogniki o upiornym, niewytłumaczalnym odcieniu...

– Tak mniej więcej wygląda transmisja z pozostałego, wciąż funkcjonującego fragmentu sondy – rzekła Wadź, gdy skończyła powyższą opowieść. – Ułożyłam ją w formie opowiadania, mam nadzieję, że wam się podoba – dodała nie bez pewnej dumy.

Obrzydliwe – stwierdził ze zgrozą Czandra.

– Nie sądzę, żeby mój talent literacki był aż tak... jałowy – zaprotestowała Wadź.

– Nie, to było ciekawe i... ładnie opisane – wyprowadził ją z błędu młodzieniec.

– Mówiłam, że takie wypadki przy wyprawach badawczych są



nieuniknione – ciągnęła dalej Wadź. – Gromadkę tubylców spotkał niezbyt miły los, ale nie powinniśmy się za to obwiniać, a już zwłaszcza nie ty. Bądź co bądź to ja nie zapanowałam nad sondą.

– Nie Wadź, nie o to mi chodzi! – przerwał jej Czandra. – Po prostu zrozumiałem lepiej o co chodzi z żywielą i że też jestem (o zgrozo!) jej częścią...

– Skoro to widzisz, nie powinieneś się martwić – pocieszył go Słoneczny. – Ale cieszę się, że w końcu należycie oceniłeś moje zupełnie naturalne nastroje, które wydawały ci się wcześniej aroganckie. A wy czemu tak milczycie? – zwrócił się do Gauri i Ludwika.

- Zanim weźmiemy udział w jakichś nowych czynach, będę musiał spisać skromne oratorium, które przyszło mi do głowy – wyjaśnił kompozytor.
- Na jaki temat? – zaciekawił się kosmita.
- Żywieli rzecz jasna – oznajmił Ludwik. – To będzie raczej obowiązek, niż przyjemność. Dlatego posłużę się personifikacjami, co przeważnie uważam za niewskazane. Będą występować takie oto osoby dramatu: Wiara, Płodność, Chuć Wiecznego Życia i Cisza.
- To wspaniałe – uśmiechnęła się Gauri, – bardzo bym chciała to usłyszeć, zanim znów zajmiemy się słodkimi mieszkańcami Kubery. Wbrew rozsądkowi czuję się bowiem trochę przygnębiona.
- Dlaczego wbrew rozsądkowi? – zdziwił się jej Heathcliff.
- Ewolucja naturalne pozostawia kilka podstawowych atawizmów – odparła młoda matematyczka. – Instynkt rodzicielski i instynkt przetrwania. Niestety, gdy okres dorastania młodych jest długi, mogą się one bardzo potęgować. Wśród młodych szansę przetrwania zwiększa wiara w bezgraniczną nieomyślność rodziców, którzy z kolei dla własnej wygody przedstawiają młodym nakazy i zakazy na wiarę. Wygoda staje się wiarą, wiara zaś religią. Instynkt przetrwania w doskonale wyewoluowanej

religii staje się dogmatem wiecznego życia i pojęciem świętości gatunku i rodzicielstwa. Dobrze jest też zadbać, by wszyscy w okolicy myśleli tak samo, nie zaburzając jedynie właściwego modelu świata. Te wszystkie proste mechanizmy są źródłem naszego obrzydzenia, Czandro. Przyszedł mi do głowy wiersz, trochę na podobny temat, a z pewnością będący refleksem naszego pierwszego spotkania z „cywilizowanymi” Kuberianami.

*Spadł deszcz i ziemia stała się srebrzysta*

*Woda lśniła życiem rozpuszczonych skał*

*Jak ląd na którym zabłysły przemiany*

*Barwiony wzorem który chce pozostać*

*Krople są puste choć ciężkie od istnień*

*To co zrodzone nie rodzi się znowu*

*W oddechach w biciach nie trwa ciekawość*

*Starcza im radość powielania siebie*

*Lecz proza trwania nie będzie poezją*

*Płaczcie płodne chmury na nic jest wasz lament*

*Nie ma nikogo nawet w wielkich miastach*

*Zniszczenie nie jest gorsze od przetrwania*

*Ach stań się burzą życiodajna rzeko*

*Wtedy melancholia da smak ruinom*

- Proste, ale ładne – ucieszył się Słoneczny. – Może jednak uda wam się znaleźć cienie w umarłych miastach Kubery, może odkryjecie ruiny, w których melancholia ma smak, nie jest jedynie ponurym znudzeniem, czyli typową reakcją na żywiel.
- Owszem, trzeba będzie spróbować – pokrzepił się Czandra. – W relacji sondy była mowa o jakiejś wojnie, zdaje się, że pokonane przez religijnych fanatyków państwo kultuwyje inne tradycje.
- Tymczasem pora na „Żywiel” – zaproponował Ludwik, w wszyscy przystali na to z radosną ulgą. – Gauri – kontynuował kompozytor, – mam nadzieję, że zechcesz po drodze poprawić libretto.

Dziewczyna przystała na to ochoczo i w migoczących wielkimi liśćmi alejach parku pogrążyła się w pełnej zadumy dyskusji z geniuszem kompozytora. Było upalnie, ptaki milczały, albo odzywały się cicho i niedbale, dając szansę na wokalny występ wodzie, która szumiała melodyjnie w rozrzuconych nad kanałami fontannach. Ajodhja i Lanka lśniły na niebie, szczęśliwe zapewne, że w tym układzie ich czyste świetlne grzywy nie służą żadnej żywielu, lecz mkną obojętnie i martwo przez przestrzeń rozdzwonioną od fal kwantowego prawdopodobieństwa. Obca im była obłuda czyniąca świętym to co przyziemne, obłuda tajemnicza oczywistością wyolbrzymionych pragnień i obojętna na prawdziwe tajemnice.

[Następny rozdział](#)

[Poprzedni rozdział](#)

[Wszystkie rozdziały](#)